



**You have downloaded a document from
RE-BUS
repository of the University of Silesia in Katowice**

Title: Zamknięci w bibliotece, czyli rozważania o metanarracjach i naukowych wizjach świata

Author: Paweł Jędrzejko

Citation style: Jędrzejko Paweł. (2016). Zamknięci w bibliotece, czyli rozważania o metanarracjach i naukowych wizjach świata. W: D. Pawelec, M. Waga, J. Witek (red.), Światła biblioteki otwartej : rola biblioteki akademickiej w kształtowaniu społeczeństwa obywatelskiego. (S. 34-53). Katowice : Oficyna Wydawnicza Waław Walasek.



Uznanie autorstwa - Użycie niekomercyjne - Bez utworów zależnych Polska - Licencja ta zezwala na rozpowszechnianie, przedstawianie i wykonywanie utworu jedynie w celach niekomercyjnych oraz pod warunkiem zachowania go w oryginalnej postaci (nie tworzenia utworów zależnych).



UNIwersYTET ŚLĄSKI
W KATOWICACH



Biblioteka
Uniwersytetu Śląskiego



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

Paweł Jędrzejko

Zakład Studiów Amerykańskich i Kanadyjskich
Uniwersytet Śląski w Katowicach

Zamknięci w bibliotece, czyli rozważania o metanarracjach i naukowych wizjach świata¹

Niezwykle trudno jest opisać ścieżki myśli tam, gdzie wiele już takich myślowych kolein (własnych i cudzych) wyżłobiono – i nie wpaść w którąś z nich. Trudno jest odstąpić od istniejącego toru myślenia tylko troszkę.
(L. Wittgenstein: *Zettel*, § 349)²

Wstęp

Główna idea, jaka tkwi u podłoża niniejszych rozważań, to idea wzajemnej zależności zachodzącej pomiędzy fundamentalnymi konceptami najważniejszych metanarracji kultury judeochrześcijańskiej a inwentarzem pojęć dostępnych jako słowa-klucze w przestrzeni badań naukowych. Innymi słowy, wywód tutaj prezentowany ma za zadanie zwrócić uwagę czytelnika na relację między językiem, przy pomocy którego opisujemy świat a *istnieniem* bądź *niepojmowalnością istnienia* bytów, jakie ów świat wypełniają. Tak sformułowany cel wymaga jednak dodatkowej glossy, bowiem to, co pozornie oczywiste, staje się kłopotliwie nieoczywiste, kiedy rozważy się sens pojęć w niniejszej książce wszechobecnych, a dla uczniów Marshalla McLuhana i Derricka de Kerckhove – elementarnych: „globalizacja” bowiem objawić się może jako koncepcja niebezpieczna, jeżeli przyjrzeć jej się w świetle postulatu o tożsamości „medium” i „komunikatu”.

¹ Niniejszy tekst powstał na zamówienie Redakcji czasopisma „Er(r)go: Teoria–Literatura–Kultura”. Wydawnictwo Śląsk, Katowice 2012 i ukazał się w numerze pod tytułem *Interiory/Eksteriory* pod gościnną redakcją Zbigniewa Białasa i Pawła Jędrzejki. Uprzejmie dziękujemy Wydawcy za wyrażenie zgody na przedruk.

² Przekład: P. Jędrzejko.

Punktem wyjścia moich rozważań jest sławny aforyzm Ludwiga Wittgensteina, który jednocześnie stanowi eleganckie motto dla nie do końca spójnego zbioru moich (czynionych często „na bieżąco”) obserwacji. Wywód rozwija się następnie w pogłębioną nieco refleksję dotyczącą ograniczeń rozwoju wiedzy w logocentrycznym świecie. Ostatecznie – prowadzi do pytań dotyczących dyskursów dyktujących charakterystykę codziennych strategii kwerend bibliotecznych i elektronicznych stosowanych zarówno przez naukowców, jak i przez studentów. Wywód zamykają rozważania dotyczące potencjału języka metaforycznego/figuracyjnego w kontekście poszukiwania wyjścia z intelektualnego błędnego koła uznanych metodologii. Przede wszystkim jednak uwagi tutaj zebrane mają stanowić przyczynek do dalszej – filozoficznej, filologicznej – kulturoznawczej debaty nad stanem wiedzy i jej rozwojem.

W stronę oczywistości

Kiedy judeochrześcijański Bóg tworzy świat, rozpoczyna od zbudowania „katalogu katalogów”. Wszechświat zaczyna się od Słowa, które różni się od tego, co księga Genesis opisuje metaforycznie w terminach „bezkształtności” i „próżni”. Słowo różni się od tego, czego nie sposób pomyśleć, a tym bardziej wyrazić. To dzięki tej elementarnej różnicy Słowo zyskuje moc „segregowania” rzeczywistości, stając się tym samym zasadą Uniwersalnego Porządku, judeochrześcijańskim Logosem. Jednak wbrew temu, w co wydawał się wierzyć jeden z najważniejszych twórców współczesnej teorii przekładu, Eugene Nida, wielość nie tylko różnojęzycznych, ale także monolingwalnych przekładów Biblii wydaje się przeczyć temu, iżby Słowo, organizujące *Universum*, mogło istotnie być uniwersalne dla wszystkich. Jest oczywiste, że różne wyznania uznają różne przekłady owego „z założenia” uniwersalnego komunikatu Słowa i ewidentnie preferują te z nich, które dostarczają odpowiedniego tekstowego fundamentu dla preferowanych katechizmów. Inne przekłady stanowią w najlepszym wypadku możliwe do zaakceptowania „fałszywki”, w najgorszym zaś – uznawane są za herezje.

Trudno żywić jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, jak ważny jest język dla kultury judeochrześcijańskiej. Ilustracji dostarcza chociażby oczywiste mitologiczne porównanie. W Starożytności Androgyni, których integralność nie została jeszcze zniweczona w wyniku binarnego podziału płci, byli w stanie zagrozić pozycji olimpijskich bogów dzięki mocy jedni, jaką każdy z nich stanowił. W kulturze judeochrześcijańskiej ludzkość posługująca się jednym językiem, zdolna do komunikacji idealnej i dzięki temu idealnie spójna lokuje Boga w pozycji arcy-niebezpiecznej skutkiem zaskakująco skutecznego przedsięwzięcia, jakim była budowa wieży Babel. W obu przypadkach bogowie reagują przemocą: Androgyni zostają rozcięci na obdarzone dystynktywną płcią połówki i tracą swoją moc; wysiłki ludzkości biblijnej udaremnione

zostają w wyniku aktu przemocy metawerbalnej: pomieszania języków. Oczywiście jest to, że od zarania kultury judeochrześcijańskiej ten, kto posiada władzę nad Słowem, ma władzę nad Światem; ten kto zdoła skutecznie wprowadzić w życie nowomowę – jednocześnie celebruje anulowanie jej samej: ona staje się Światem, dezawuuując to, co było przedtem, wraz z pojęciem przedtem. Bez Słowa – nic, co zostało stworzone, stworzone nie zostało.

W stronę Biblioteki Babel

Ewidentnie, Uniwersalne Słowo, które uruchamia lawinę dyskursywnych relacji i powołuje do istnienia byty de-FINI-cyjne, jednocześnie daje początek alternatywnym Uniwersom. Komponenty tych Uniwersów są dla każdego z nich (przejściowo) unikalne: niektóre elementy jednego *Universum* są transparentne w przestrzeni drugiego; inne elementy, nieprzejrzyste i na pierwszy rzut oka znajome – mogą w najlepszym wypadku okazać się „fałszywymi przyjaciółmi”, a w najgorszym – będą upostaciowieniem tego, co Freud określił jako *Unheimlich*.

Co więcej, z jakiegoś powodu podobne zjawisko może w przestrzeni, która może się z pozoru jawić jako *to samo universum*. Choć żadne słowniki nam tego nie wyjaśniają, doskonale rozumiemy, iż sformułowanie „Marysia to porządna dziewczyna” znaczy coś innego, niż „Marek to porządny chłopak” – biblijne wzorce tak głęboko zakorzenione są w naszym języku, że rzadko poddajemy je w wątpliwość. Nie zastanawiamy się szczególnie nad tym, dlaczego od „porządnej dziewczyny” oczekujemy (by tak rzec) ograniczenia życia erotycznego do jednego partnera, przyznając jednocześnie prawo do wielu partnerek „porządnemu chłopakowi”, od którego z kolei oczekiwać będziemy innego rodzaju „uczciwości”: wiarygodności, rzetelności czy pracowitości. Nikt nie ma wątpliwości co do interpretacji obu tych użyć przykładowego wyrazu, jak gdybyśmy mieli natychmiastowy, bezpośredni dostęp do jakiegoś niepublikowanego, nierecenzowanego, lecz najbardziej autorytatywnego „supersłownika”, albo – lepiej jeszcze – całej podręcznej biblioteki: do elementarnego Słowa, organizującego *Universum*, jakie postrzegamy. Oczywiście intuicje, które tutaj zakreślałam, nie stanowią żadnego novum; Jorge Luis Borges na przykład pisze o *Universum* tak:

Wszechświat – *Universum* – (który inni nazywają Biblioteką) składa się z nieokreślonej i być może nieskończonej liczby sześciokątnych galerii, rozdzielonych potężnymi szybami wentylacyjnymi i otoczonych niziutkami barierkami. Z dowolnego heksagonu można zobaczyć ciągnące się w nieskończoność piętra powyżej i poniżej. Rozkład galerii jest niezmienny. Dwadzieścia pólek, po pięć długich regałów na stronę, przypada na cztery

z sześciu boków każdej galerii; wysokość regałów – od podłogi do sufitu – nie przekracza wysokości zwyczajnej szafki na książki, jaką zobaczyć można na co dzień. Jeden z wolnych boków galerii prowadzi do wąskiego korytarzyka, który otwiera się na kolejny heksagon, identyczny w stosunku do tego pierwszego i wszystkich innych. Z lewej i z prawej strony korytarza mieszczą się dwie maleńkie komórki. W pierwszej z nich można spać na stojąco; w drugiej – zaspokajają się potrzeby fizjologiczne. Tędy również wiodą spiralne schody, które z jednej strony opadają w przepaść, a z drugiej wspinają się ku odległym wyżynom. W korytarzu znajduje się lustro, które wiernie pomnaża wszystko to, co widać. Ludzie zazwyczaj wnioskują na jego podstawie, że Biblioteka nie jest nieskończona (gdyby była, czemu miałyby służyć iluzoryczna duplikacja?); ja sam wolę marzyć, że jego wypolerowane powierzchnie reprezentują i jednocześnie obiecują nieskończoność. Źródłem światła są swoiste sferyczne owoce, noszące miano lamp. W każdym sześciokącie umieszczone są dwa z nich, po przeciwnych stronach. Światło, jakie emitują, jest niewystarczające, nieustanne³.

W wizji Borgesa *Universum* jest klarownie zorganizowaną, nieomal krystaliczną strukturą, wypełnioną słowami, lecz jednocześnie taką, w której zadbano o elementarną fizjologię. Nieskończoność *Universum*, tak jak nieskończoność liczby sześciokątnych galerii zawierających regały uporządkowanych woluminów, równa jest nieskończoności potencjalnych wypowiedzi, jakie umożliwia Słowo. Mimo to, nieskończoność ową można podejrzewać o to, iż w istocie jest ograniczona zasadami organizacji przyjętego Uniwersalnego Słownika obowiązującego w danym *Universum*, który to słownik, dla jasności, powinniśmy zacząć identyfikować z tym, co Jean-François Lyotard nazwał *metanarracją*.

Jak każdy człowiek Biblioteki [pisze dalej Borges] wiele w młodości podróżowałem; wędrowałem w poszukiwaniu książki, a może szukając katalogu katalogów; dziś oczy moje ledwo mogę odcyfrować to, co piszę – i przygotowuję się na to, że umrę zaledwie o kilka mil od sześciokąta, w którym się urodziłem⁴.

To jasne, że dla każdego człowieka Biblioteki „niezwykle trudno jest opisać ścieżki myśli tam, gdzie wiele już takich myślowych kolein wyżłobiono – własnych i cudzych – i nie wpaść w którąś z nich. Trudno jest odstąpić od istniejącego toru myślenia tylko troszkę”. Istotnie:

³ J.L. Borges: *The Library of Babel*. http://downlode.org/Etext/library_of_babel.html. Przekład: P. Jędrzejko.

⁴ Tamże.

wyduje się, że jedynie wybrana garstka spośród ludzi Biblioteki może mieć nadzieje na to, by umrzeć „na zewnątrz”. Niezdolny do tego, by odstąpić od istniejących torów myślenia ani „tylko troszkę”, ani „całkowicie”, człowiek Biblioteki musi zdać sobie sprawę z tego, że jego koncepcja *Universum* najprawdopodobniej doprowadzi go najdalej do kolejnego z klarownie ułożonych, geometrycznych korytarzy. I nawet jeśli taki korytarz ciągnie się przez tysiące mil, oddalając wędrowca od oryginalnego sześciokąta, punkt docelowy jego wędrówki „już i od zawsze” (*always already*) jest wpisany w mapę. Tysiące mil stąd – to wciąż zbyt blisko, to wciąż wewnątrz Biblioteki. Każdy, kto stawia sobie za cel poszukiwanie i odnalezienie „katalogu katalogów”, musi dotrzeć tam, gdzie inni dotarli już przed nim – i tak jak oni ponieść klęskę w swych staraniach, by ogarnąć to, co niemożliwe do wypowiedzenia, to, czego nie da się pomyśleć, a czego istnienia nie sposób ani zlekceważyć, ani zbyć milczeniem.

Kiedy już umrę [fantazjuje Borgesowski narrator], nie zabraknie świątobliwych rąk do tego, by przerzucić mnie przez barierkę; grobem moim będzie bezdenne powietrze, moje ciało opadać będzie wiecznie, rozłoży się, rozplynie w wietrze wygenerowanym prędkością upadku, który nie ma końca. Twierdzę, że Biblioteka jest nieskończona. Idealiści argumentują, że sześciokątne pokoje stanowią konieczną formę absolutnej przestrzeni – albo przynajmniej naszej intuicji przestrzeni. Wywodzą, że trójkątność bądź pięciokątność pokoju jest niewyobrażalna. (Mistycy twierdzą, że ekstaza, w której się zagłębiają odkrywając przed nimi okrągłą komnatę zawierającą wielką kolistą księgę o ciągłym grzbiecie, która zajmuje cały okrąg ściany; wszelako ich świadectwo ma podejrzaną wartość, ich słowa są niejasne. Owa cykliczna księga to Bóg). Na tę chwilę jednak niechaj nam wystarczy, że powtórzę klasyczne *dictum*: Biblioteka jest sferą, której dokładnym środkiem jest dowolny z jej heksagonów, zaś miara jej obwodu jest niedostępna⁵.

Pytanie o obwód biblioteki jest niebezpieczne. Podejmowanie starań o to, by stwierdzić, który z sześciokątów jest tym centralnym – to niebezpieczeństwo podwójne. Pierwszy z tych gestów wystawia poszukiwacza na doświadczenie granic jego wyobraźni i przemieszcza go w przestrzeń wzniosłości; gest drugi – bez względu na przyjętą metodę – może zostać zrozumiany jako gest polityczny i w konsekwencji pociągnąć za sobą wrogie reakcje innych ludzi Biblioteki, Borgesowskiej „Inkwizycji”. Szczególnie, że Biblioteka jest starsza niż metoda, zaś ta ostatnia jest niezawodnym eksponentem potencjału tej pierwszej.

⁵ Tamże.

Biblioteka istnieje *ab aeterno*. Tej prawdy, której bezpośrednim następstwem jest przysła wieczność świata, nie podda w wątpliwość żaden racjonalny umysł. Człowiek, niedoskonały bibliotekarz, może być tworem przypadku lub złośliwego demiurga; *Universum*, z całym eleganckim wyposażeniem – z regałami, z enigmatycznymi woluminami, z niewyczerpanymi schodami dla przemierzającego się poszukiwacza i latrynami dla stacjonarnych bibliotekarzy – może być jedynie dziełem boga. By dostrzec dystans między tym, co boskie i tym co ludzkie wystarczy porównać te z gruba ciosane, chwiejne symbole, które moja omylna dłoń kreśli na okładce książki z organicznymi literami wewnątrz: dokładnymi, delikatnymi, doskonale czarnymi, niezrównanie symetrycznymi⁶.

Uwolnione od „czynnika ludzkiego” *Universum* pozostaje w stanie doskonałości. Wypełniające je postulowane byty, niewzruszone, postulowany krystaliczny porządek – emulaty logicznego umysłu – są wieczne. A ściślej mówiąc, są wieczne pod warunkiem, że czas liczymy od chwili Upadku Adama, od dnia narodzin ratio, która postuluje nieskończoność, ale ostatecznie nie jest zdolna do tego, by sobie ją wykoncypować bez odwołania do skoku w wiarę lub do idei cyklu.

Twierdzę, iż myślenie o świecie jako nieskończonym nie jest nielogiczne. Ci, którzy sądzą, iż jest ograniczony, postulują, iż można sobie wyobrazić, że w gdzieś w najodleglejszych miejscach korytarze i schody mogą się skończyć – a to absurd. Ci zaś, którzy wyobrażają go sobie jako przestrzeń nieograniczoną zapominają o tym, że możliwa liczba książek obarczona jest ograniczeniem. Ja sam podejmę ryzyko zasugerowania następującego rozwiązania dla tego starego jak świat problemu: Biblioteka jest nieograniczona i cykliczna. Jeżeli wieczny wędrowiec miałby przemierzyć ją, poruszając się w dowolnym kierunku, po upływie stuleci zobaczyłby, że te same woluminy powtarzają się w tym samym nieporządku (który – w ten sposób powtórzony stałby się porządkiem: Porządkiem przez wielkie P). Ta elegancka nadzieja rozświecła nieco moją samotność⁷.

Elegancja cyklu, elegancja powtórzenia, elegancja porządku – wszystkie te skojarzenia wywołują nieuniknione przeczucie, że zdolność postrzegania sensu w świecie poprzez Słowo nie jest dostatecznie niezwiązana z estetyką, a do tego z Estetyką Piękną. Taka estetyka staje się anestetykiem, swoistym środkiem znieczulającym: człowiek zachowuje zdolność racjonal-

⁶ Tamże.

⁷ Tamże.

nego funkcjonowania, podczas gdy jego zmysły pozostają w odrętwieniu, nieczułe wobec potencjalnie wywrotowych konsekwencji rozpoznania i uznania wartości jakiegokolwiek estetyki wzniosłości.

Bibliotekarz

Najwyższym Kapłanem takiego eleganckiego *Universum* jest Bibliotekarz. Cichy, nieomal niewidzialny i prawie zawsze niedoceniany przez tych, którzy przewijają się obok, Bibliotekarz jest najbliższym sprzymierzeńcem wszystkich tych, którym brak eksperckiej znajomości Katalogu. Bibliotekarz dołoży wszelkich starań, by stworzyć drobiazgowy opis nowych książkowych nabytków – jednak on sam nie musi szukać w książce „znaczenia”. Potrzebuje natomiast słów-kluczy, by ją opisać i algorytmu, którego będzie się trzymał. Bibliotekarz, który odważy się odstąpić od algorytmu lub zapomni o swej elementarnej funkcji jako Najwyższego Deskryptora i Najwyższego Lokatora obiektów w Znanym *Universum*, ryzykuje potężnie, iż nie spełni swej misji – szczególnie, jeżeli odstępstwo jest wynikiem utraty wiary lub skokiem w „złą wiarę”.

Melvilleowski nieszczęsny „wiceasystent zastępcy kustosza” – a więc najniższy rangą z Kapłanów Biblioteki, który na co dzień nie zwraca niczyjej uwagi, podejmuje się skompilowania wiedzy na temat Wieloryba *in toto*. Zbiera więc wszystkie odniesienia i odwołania do Wieloryba ze wszystkich półek wszystkich regałów wszystkich heksagonów. Jednak – pozostając w koleinie Słowa – u kresu swych poszukiwań jest identycznie daleko od „istoty wielorybowości” jak wówczas, kiedy dopiero wyruszał w podróż, która wiodła go przez „nieskończenie długie watykańskie korytarze i wszystkie księgarskie kramy tego świata”.

Żegnaj więc, nieszczęsny wice-asystencie zastępcy bibliotecznego kustosza; to twoim jestem komentatorem. Należysz, mój bracie, do owego odartego z nadziei plemienia ludzi o ziemistej karnacji, których nie rozgrzeje żadne wino tego świata i dla których nawet białe sherry mogłoby się okazać zbyt mocne – lecz z którymi czasami cudownie jest posiedzieć przy jednym stole i też poczuć się beznadziejnie, a potem z wolna rozjaśniać nastroj zakrapianej łzami biesiady, by w końcu, z osuszonym kielichem w dłoni i słoną wilgocią w oczach, w atmosferze niezupełnie nieprzyjemnego smutku, powiedzieć wprost: – Dajcie sobie spokój, o wice-asystenci! Wszak im więcej starań uczynicie, by zadowolić świat, tym liczniejsze będą te zasługi, za które nikt nigdy wam nie podziękuje! Och, gdybym tylko mógł, opróżniłbym dla was pałace Hampton Court i Les Tuileries! Ale dość już: przelknijcie łyż i pospieszcie sercem w górę, na sam top grotmasztu: przyjaciele wasi bowiem, którzy odeszli przed wami, prowadzą teraz czystkę w siedmiopiętrowym nie-

bie czyniąc uchodźców z nazbyt już długo rozpieszczanych Gabriela, Michała i Rafała – a wszystko to na wasze nadejście. Tutaj – złączyć możecie jedynie wasze splekane serca; tam – zderzycie kielichy, które nie pękną nigdy!⁸

W stronę autorstwa Katalogu (podejście pierwsze)

Bibliotekarz, wprowadzając dane do Katalogu, rzadko doświadcza frustracji odczytania na komputerowym ekranie komunikatu „Komenda nieznana”. Znajomość logiki Systemu gwarantuje „wzajemne porozumienie” między bezcielesnymi, jednak boleśnie obecnymi „OPACami”, „PROLIBami” i innymi środowiskami służącymi zarządzaniu zasobami biblioteki oraz człowiekiem podejmującym wysiłki, by „uniwersalnie” opisać *Universum*. Taka wiedza przechodzi od Dyrektorów Bibliotek Narodowych, z natury rzeczy reprezentujących interes Władzy, do „wiceasystentów kustoszy” sposobem, który nie dozwala błędów: Zasady trzeba nauczyć się na pamięć. System działa jedynie wówczas, jeżeli nie pozostawia cienia wątpliwości co do klarowności swojej organizacji i intersubiektywnej „czytelności” swoich kategorii; jego twórców zaś można podejrzewać o to, że cichcem aspirują do obiektywności. Każdy system posiada swego indywidualnego lub zbiorowego Twórcę: ów Twórca może posiadać imię i nazwisko, a w czasie wdrażania systemu – może być zawodowo aktywny, na emeryturze lub martwy. Ważniejsze jednak jest to, że system aspiruje do tego, by zarządzać Słowem: Język Informacyjno-Wyszukiwawczy jest ostatecznie językiem odniesienia, który – wbrew wszystkim przeciwnym twierdzeniom – pretenduje do Uniwersalności.

Tendencję tę łatwo zracjonalizować. „Wstęp” do używanego obecnie podręcznika Uniwersalnej Klasyfikacji Dziesiętnej rozpoczyna następująca, teoretycznie „neutralna”, obserwacja:

Działalność informacyjna prowadzona na użytek rozwoju naukowego i technicznego zawsze koncentrowała uwagę na przyspieszaniu przepływu informacji o wynikach prowadzonych lub zakończonych badań naukowych i umożliwieniu dzięki temu ich szybkiego wdrożenia w działalności praktycznej. W szerszym sensie, wszelka zorganizowana działalność informacyjna ma na celu zapewnienie sprawnego i możliwie szybkiego przepływu informacji od jej twórcy do odbiorcy. Realizacja tego celu nadrzędnego wymaga roz-

⁸ H. Melville: *Moby Dick, or The Whale*. Ed. H. Hayford, H. Parker, G.Th. Tanselle. In: *The Writings of Herman Melville*. Ed. H. Hayford, H. Parker, G.Th. Tanselle. Vol. 6. Northwestern University Press and Newberry Library, Evanston–Chicago 1988, s. XVII–XVIII. Przekład: P. Jędrzejko.

poznawania i przełamywania rozmaitych barier, utrudniających przepływ informacji w określonym środowisku⁹.

Bariery, o których mowa, to między innymi tzw. *bariera informacyjna* (pojęcie referencyjnie ogarniające wszelkie czynniki hamujące przepływ lub ograniczające dostęp do informacji), *bariera ekonomiczna* (pojęcie odnoszące się zbiorczo do czynników związanych z kosztem dostępu do informacji), *bariera psychologiczna* (u podstaw której leży „inercja przyzwyczajenia i niechęć do korzystania z nowych źródeł i technologii informacyjnych”¹⁰), *bariera administracyjna* (związana z przepisami redukującymi lub ograniczającymi dostęp do informacji), *bariera technologiczna* (będąca konsekwencją faktu, iż rozwój dostępnych technologii i organizacja przetwarzania danych postępują w tempie niższym, niż przyrost informacji), a w końcu także *bariera językowa* (której pojawienie się autorka cytowanej pracy postrzega jako skutek problemów technicznych związanych z rejestrowaniem informacji dotyczących wyników badań ogłaszanych w różnych językach, często takich, którymi badacze w danym kraju posługują się rzadko lub wcale).

Powyższa lista barier – choć, jak mogłoby się wydawać – pełna i przekonująca, sama jednak pośrednio powstaje na gruncie projektu intelektualnego o encyklopedyczno-pozytywistycznych korzeniach. Lista pomija bowiem barierę elementarną: tę kreowaną przez język dyskursu, na bazie którego autorka zorganizowała swoje badania i wyciągnęła wnioski. Kierując się kryterium użyteczności, Barbara Sosińska-Kalata pisze podręcznik – trudno się zatem dziwić, że unika niewygodnego, wymagającego obszernych filozoficznych omówień, problemu złożoności porządku podlegającego opisowi w związku twórczą mocą samego Logosu. Innymi słowy, autorka przedstawia preferowany porządek myślenia o informacji jako „propozycję zobiektywizowaną”, nie ukazując jednak rozległości „universum” porządków alternatywnych. Nie podnosi więc kwestii praktycznych konsekwencji implementacji danego języka informacyjno-wyszukiwawczego i kategorii klasyfikacyjnych w procesie „porządkowania” informacji – choć wydaje się jasne, że te mogą okazać się bardziej dalekosiężne aniżeli sama wielojęzyczność informacji. Nawet skrótowy przegląd funkcjonujących obecnie definicji języka informa-

⁹ B. Sosińska-Kalata: *Podręcznik UKD dla bibliotekarzy i pracowników informacji*. Wydawnictwo SBP, Warszawa 1995, p. 21.

¹⁰ Tamże. Zob. także: T. Pawelec i P. Jędrzejko: *Towards Innovation: Teaching Humanities at a Polish University in the Light of the Experience of International Academic Exchange (Reflections of CEP Local Faculty Fellows)*. W: *Innovations in Higher Education*. WCUPA, West Chester 2007.

cyjno-wyszukiawczego potwierdza zasadność pojawiających się wątpliwości dotyczących „uniwersalności” porządków na podstawie takiego języka budowanych. Język informacyjno-wyszukiawczy to:

[...] jakkolwiek zespół znaków (wyrazów języka naturalnego, symboli alfanumerycznych), zorganizowany lub nie, służący do budowania charakterystyk wyszukiawczych (dosłownie „zaindeksowanych reprezentacji” [...] pewnych dokumentów)¹¹.

– albo:

System znaków i reguł operowania nimi rozumianych tak samo przez określoną grupę ludzi, specjalnie zbudowany w celu przedstawienia w skondensowanej postaci istotnych (z punktu widzenia późniejszej identyfikacji) elementów zawartości lub formy przedstawienia informacji przechowywanej w pamięci systemu (SWI), zapewnienia przepływu informacji wewnątrz tego systemu oraz wyszukiwania w pamięci systemu informacji relewantnej¹².

– albo:

Język sztuczny, którego wyspecjalizowaną funkcją jest opis dokumentów w celu ich późniejszego odszukania na żądanie użytkownika. Język informacyjny umożliwia odwzorowanie treści dokumentu przez tworzenie zwartej jej reprezentacji oraz wyrażenie charakterystyk formalnych dokumentu przez podanie (wyliczenie) ich w wyborze i postaci ustalonej regułami danego języka informacyjnego¹³.

– albo:

¹¹ J.C. Gardin: *Elements d'un modele pour la description des lexiques documentaires*. „Bull. des bibl. de France” 1966. T. 11. Nr 5, s. 172 – cyt. za: B. Sosińska-Kalata: *Podręcznik UKD dla bibliotekarzy i pracowników informacji*. Wydawnictwo SBP, Warszawa 1995, p. 23.

¹² O. Ungurian: *Elementy teorii języków informacyjnych*. OIN PAN, Warszawa 1976), s. 52–53 – cyt. za: B. Sosińska-Kalata, *Podręcznik UKD...*, p. 24.

¹³ L.A. Bielicka, E. Ścibor: *Wprowadzenie do teorii języków informacyjnych*. IINTE, Warszawa 1981, s. 16 – cyt. za: B. Sosińska-Kalata, *Podręcznik UKD...*, p. 24.

Sztuczne systemy językowe, których wyrażenia realizują funkcję metainformacyjną lub równocześnie metainformacyjną i impresywną w sensie funkcji wyszukiwawczej, zaś ich funkcja metainformacyjna może być określona albo na zbiorze dokumentów albo na zbiorze zbiorów dokumentów¹⁴.

Ostatecznie autorka proponuje czytelnikom definicję z pozoru mniej abstrakcyjną:

Upraszczając nieco stylistykę przytoczonych definicji można przyjąć, że język informacyjno-wyszukiwawczy (język informacyjny) to sztuczny, czyli celowo przez kogoś zbudowany system językowy, składający się z określonego zbioru znaków i reguł posługiwania się nimi, specjalizujący się w opisie cech treściowych i formalnych dokumentów oraz umożliwianiu wyszukiwania dokumentów o określonych cechach na podstawie uprzednio przygotowanych charakterystyk¹⁵.

Biorąc pod uwagę cele niniejszego artykułu, re-narrację zawartości podręcznika UKD można tutaj zakończyć: finalne zdanie ostatniej z cytowanych definicji pozwala bowiem na wyciągnięcie wstępnych wniosków, które znajdą przełożenie na praktykę działalności akademickiej. Jeżeli zatem zaufać Hackluytowi, którego słowa dotyczące istotności pojedynczej litery w procesie odczytywania sensu rzeczywistości Herman Melville uwiecznił w *Moby-Dicku*, wolno także uznać, że Melville'owska „Etymologia” dostarcza pierwszej wskazówki co do kierunku możliwej argumentacji. Dwoista łacińska etymologia czasownika „informować” (*informare* – „nadawać kształt, formę”, „kształtować”, ale także, w znaczeniu przymiotnikowym *informis* – „bezkształtny”) sugeruje wyrażenie, że informacja to faktycznie *proces kształtowania* czegoś, co wcześniej nie posiadało formy, a zatem nie poddawało się językowemu opisowi i w języku nie istniało, albo też *stan bezkształtności* danych, które dopiero w interpretacji kształtu nabiorą. Ów proces/stan decyduje o kształcie rzeczywistości – i przekłada się bezpośrednio na światopogląd osób informowanych i świat, jaki te osoby postrzegają przez pryzmat informacji. Informacja jest odpowiedzialna za kształtowanie, transformacje lub wręcz powoływanie rzeczywistości do istnienia. Jeżeli więc zestawie informację tak rozumianą z filozofią, jaka tkwi u podłoża koncepcji języka informacyjno-wyszukiwawczego, stanie się jasne, iż proces „kształtowania” zachodzi na podstawie opisu osadzonego w zestawie *predeterminowa-*

¹⁴ B. Sosińska-Kalata, *Podręcznik UKD...*, p. 24.

¹⁵ Tamże.

nych cech, czyli ograniczonego mniej lub bardziej arbitralnymi kategoriami pojęciowymi. Skała arbitralności pozostaje w zależności wobec poziomu samoświadomości twórcy metodologii, w której zakorzenione jest tegoż twórcy pojmowanie świata. Ostatecznie też sama metodologia zawsze wyrasta z języka i *znajduje wyraz* w kategoriach – w języku, który w nieunikniony sposób opiera się na Słowie dającym początek Uniwersum preferowanemu przez jednych katechetów zaś przez innych odrzucanemu, a więc zawsze politycznemu, zawsze zorganizowanemu według pewnych priorytetów, zawsze nieobiektywnemu, zawsze powoływanemu do istnienia mocą jakiejś wiary. Dlatego właśnie można zaryzykować twierdzenie, iż język informacyjno-wyszukiwawczy kształtuje świat tak, iż czyni pewne jego elementy widocznymi, inne całkowicie przejrzystymi, a wobec tego niedostrzegalnymi – uniemożliwiając konceptualizację wszystkich pozostałych.

W stronę autorstwa Katalogu (podejście drugie)

Wiedza o tym, kim jest Arcykapłan Biblioteki, jest równie istotna jak znajomość jej Bóstw. Systemy klasyfikacyjne – w ramach których funkcjonują lub które uzupełniają języki informacyjno-wyszukiwawcze doby współczesnej – wywodzą się z metodologii, jaka legła u podłoża Klasyfikacji Dziesiętnej. System ów, ukształtowany jako całościowy i pełnowymiarowy projekt intelektualny, był dziełem jednej z najwybitniejszych postaci w historii amerykańskiego bibliotekoznawstwa i bibliotekarstwa – Melvil’a Louis’a Kossuth’a Dewey’a (1851–1931). Opublikowany w roku 1876 artykuł jego autorstwa, zatytułowany „A Decimal Classification and Subject Index”¹⁶, dał początek pragmatycznie zorientowanej debacie na temat metod klasyfikowania i indeksowania zbiorów bibliotecznych. Działalność Dewey’a jako założyciela American Library Association oraz twórcy i redaktora czasopisma *the Library Journal*, jego liczne publikacje oraz pełnione przez niego dyrektorskie funkcje w wielu ważnych bibliotekach – przyczyniły się łącznie do popularyzacji idei, która ostatecznie wyewoluowała w podstawowy system klasyfikacyjny, zaadaptowany nieomal jednolicie przez cały świat Zachodu. Twór, który niegdyś określany był po prostu jako Klasyfikacja Dziesiętna Dewey’a, na przestrzeni dziejów przekształcił się tak, że dziś znany jest pod niepokojącą nazwą Uniwersalnej Klasyfikacji Dziesiętnej. Okazuje się więc, że Bóstwa mają jednak imiona, choć – paradoksalnie – nie przypisuje im się już większego znaczenia. Michel Foucault zauważa, że:

¹⁶ M.L.K. Dewey: *A Decimal Classification and Subject Index*. Public Libraries of the United States of America, Washington 1876.

[w wieku XVII czy XVIII] dyskursy naukowe zaczęto postrzegać jako istniejące autonomicznie w obliczu anonimowości ustalonej i uznanej lub też zawsze dowodnej i podlegającej powtarzalnej demonstracji prawdy. Gwarantem ich wiarygodności przestał być autorytet indywidualnego człowieka – osoby lub osób, które powołały je do istnienia – lecz sam fakt, iż dyskursy owe współtworzyły kompleksowy porządek. Rola inicjatora wyblakła; straciło na znaczeniu nazwisko twórcy, zredukowane do funkcji wyłącznie nomenklaturowej: to wówczas nazwisko badacza stało się częścią nazwy teorematu, twierdzenia, szczególnego efektu, specyficznej własności, rodzaju ciała, zespołu pierwiastków, czy patologicznego syndromu¹⁷.

Mimo to trudno oprzeć się pokusie zadawania pytań na temat początków systemu, jeżeli jego „zawsze dowodna i podlegająca powtarzalnej demonstracji prawda” okazuje się możliwa do zakwestionowania: naukowe twierdzenia, tak jak proza czy poezja, zakorzenione są w historii, a konteksty ich narodzin można prześledzić, studiując biografie ich proponentów. Dewey – najwyraźniej – powołuje Katalog do istnienia zgodnie z regułami judeochrześcijańskiego Logosu i czyni to w kontekście intelektualnego poruszenia wywołanego pączkującym dopiero ewolucjonizmem, który wprowadził ferment w przestrzeń szeroko pojętej taksonomii. Na tej samej zasadzie środowisko Międzynarodowego Instytutu Bibliograficznego (*Institute Internationale de Bibliographie*) – decyzją którego w roku 1907 system Dewey’a został przemianowany, uzyskując status Uniwersalnej Klasyfikacji Dziesiętnej – ucieleśniło wiarę w to, iż jakakolwiek klasyfikacja może, *de facto*, być uniwersalna. W ten sposób uczeni tam stowarzyszeni dokonali niejako reifikacji pozytywistycznych projekcji filozoficznych zapoczątkowanych w drugiej połowie XIX wieku i tym samym uczynili gest w kierunku Oświecenia – gest motywowany encyklopedystyczną wiarą w opisywalność Wszechświata. Poddanie w wątpliwość „uniwersalności” tak (in)formowanego *Universum* byłoby wówczas nie do pomyślenia, podobnie, jak nie do pomyślenia byłoby podważenie „uniwersalności” samego Logosu i pogodzenie się z płynnością egzystencji wobec chwiejności dowodów na jakąkolwiek uniwersalność. Takie niebezpieczne, „Romantyczne” wątplenie – któremu nie sposób było wszak ostatecznie zapobiec – w świecie nauki o pozytywistycznym podłożu musi ulec dyskursywnemu stłumieniu lub przynajmniej zagłuszeniu; w innym bowiem wypadku sama idea Katalogu, a więc „wiedzy pewnej”, mogłaby zostać zakwestionowana.

¹⁷ M. Foucault: *What is an Author*. <http://courses.essex.ac.uk/lt/lt204/author.htm>. Dostęp: 31 III 2009. Przekład: P. Jędrzejko.

Warto przy tym zauważyć, że choć dzisiejsza świadomość teoriokrytyczna jest na tyle pojemna, że mieszczą się w niej dyskursy kwestionujące uniwersalność systemu czy stabilność konceptualizowanego strukturalistycznie znaczenia, do roku 1995 Klasyfikacja Dziesiąta do-czekała się ponad dwudziestu wydań, co zdaje się potwierdzać moc naukowej wiary w jej „uniwersalną” wartość. Jeżeli jednak przyznać rację narratorowi Borgesa, kiedy ten zauważa, iż:

*Symbole ortograficzne istnieją w liczbie dwudziestu pięciu. [...] Owo odkrycie – dokonane trzysta lat temu – umożliwiło sformułowanie ogólnej teorii Biblioteki dostarczając satysfakcjonującego rozwiązania wobec problemu, którego nie pomogły rozszyfrować żadne snute wcześniej domysły: problemu bezkształtnej i chaotycznej natury niemal wszystkich książek*¹⁸.

– wówczas staje się jasne, że „Uniwersalna” klasyfikacja zyskuje sens jedynie w kontekście historycznej interpretacji tekstu. Bezkształtne, próżne książki, jak mógłby powiedzieć Nietzsche, są zawsze „minione” – tak jak czasy, w których powstały (*vergangene Zeiten und Bücher*)¹⁹. Dzięki Borgesowskiemu „odkryciu”, w ramach struktur organizujących bibliotekę, w wyniku hermeneutycznych wysiłków czytelnika-deskryptora (specjalisty w dziedzinie informacji naukowej, bibliotekarza czy redaktora nierzadko dostarczającego dwóm poprzednim zestawu słów kluczy przypisanych jasno do odpowiednich numerów oznaczających kategorie Klasyfikacji) – można zlokalizować książki na odpowiednich półkach. Jednak jest oczywiste, że gdyby słowa kluczowe, przy pomocy których wyszukuje się informacji miały zmieniać się w czasie, centralna idea „Uniwersalnego” katalogu musiałaby nieuchronnie upaść. Dlatego, jak się wydaje, czytelnik profesjonalny czyni milczące założenie o historycznym uwarunkowaniu kategorii opisujących teksty tworzone na przestrzeni dziejów i dlatego – najwyraźniej – świat zachodni woli stosować słowa kluczowe „zapożyczone” ze wspomnianego na początku niniejszych rozważań „super słownika” lub też z całej Wielkiej Podręcznej Meta-Biblioteki – metodycznie ustrukturalizowanej i zakorzenionej w „solidnej naukowej argumentacji”. Ostatecznie nie jest tajemnicą, iż wiedza bazująca na kategoriach wywiedzionych z metanarracji religijnych zmienia się najwolniej – i ten mechanizm wydaje się odpowiadać za to, że musi minąć jeszcze wiele cza-

¹⁸ J.L. Borges: *The Library of Babel*. http://downlode.org/Etext/library_of_babel.html. Dostęp: 10 IV 2009. Przekład: P. Jędrzejko.

¹⁹ F. Nietzsche: *Die fröhliche Wissenschaft*. In: *Werke in drei Bänden, Band 2*. Ed. K. Schlechta. Hanser, München 1954, p. 91.

su, zanim Melville'owskiemu opowiadaniu *Benito Cereno* zostanie przypisane słowo kluczowe „ludobójstwo”, zaś *Robinsona Crusoe* będzie można odnaleźć pod hasłem „rasizm”.

Te obserwacje nie wyczerpują jednak dyskusji: „Uniwersalność” tak pojętego systemu upada w chwili, kiedy język informacyjno-wyszukiwawczy staje się narzędziem w ręku tych, którzy świadomie nadużyją idealistycznej wiary w Prawdę, którą podzielają Ludzie Biblioteki. Na przykład w Europie Wschodniej lat pięćdziesiątych, sześćdziesiątych czy nawet siedemdziesiątych przeszukiwanie „Uniwersalnego” katalogu (zbudowanego na bazie systemu kategorii Uniwersalnej Klasyfikacji i autoryzowanego przez Arcykapłanów Biblioteki języka informacyjno-wyszukiwawczego) przy pomocy takiego zestawienia słów kluczowych jak „zbrodnie AND stalinizm” nie przyniosłoby żadnych skutków – a precyzyjniej, liczba rekordów spełniających takie warunki wyniosłaby zero. Fraza „zbrodnie stalinizmu” – gdyby ktoś zechciał jej wówczas użyć – byłaby niemożliwa do odnalezienia ani pośród kategorii systemu Uniwersalnej Klasyfikacji, ani wśród oficjalnie przyjętych słów kluczowych języka informacyjno-wyszukiwawczego. I to bez względu na to, że wiele żyjących wciąż osób – ofiar zbrodni stalinowskich – było naocznymi świadkami wydarzeń, jakie bez wątpienia poddawałyby się takiej klasyfikacji. Wszelako, ponieważ Bibliotekarz nie pozostaje nigdy wolny od wpływów polityki i jej retoryki dążącej do jedynej (zawsze politycznej) poprawności, połączenie omawianych tu terminów w pojęcie stanowiące kategorię-klucz nastąpiło dopiero po trzydziestu z górą latach od śmierci samego Józefa Stalina.

Podobnie, termin „gender studies” włączony został w obowiązujący w Polsce język informacyjno-wyszukiwawczy dopiero wówczas, kiedy w obliczu braku sensownego polskiego odpowiednika odpowiednio znacząca liczba badaczy cieszących się odpowiednio wysokim statusem użyła tego terminu we własnych tekstach, skutkiem czego angielskie pojęcie uległo w polszczyźnie leksykalizacji i w efekcie długotrwałych roztrząsań – stało się w końcu częścią *Universum*. Dopiero od kilku lat wyszukiwanie przy pomocy frazy kluczowej „gender studies” daje w wyniku rekordy skatalogowanych w ten sposób dokumentów; wcześniej ani pojęcie, ani zespół problemów wiążących się z nim bezpośrednio nie istniały w dyskursie naukowym, a więc nie zauważano ich także poza nim. Pojęcia „zbyt radykalne”, które wbrew niechęci Najwyższych Deskryptorów opisują i przez to współtworzą świat współczesny, pozwalają czasami odnaleźć poszukiwane informacje w katalogach zagranicznych bibliotek, lecz w państwach mniej liberalnych muszą się „odleżeć” w oczekiwaniu na zmianę politycznego klimatu panującego wśród Arcykapłanów Biblioteki. Jeżeli „pojęcie” jest zbyt odległe od autoryzowanego przez Bóstwa Biblioteki światopoglądu, nie istnieje w języku wyszukiwawczym tak, jakby było absolutnie „niepojęte”. Na mocy politycznej decyzji *Universum* jest „in-formowane” w naj-

bardziej przestarzałym, przymiotnikowym znaczeniu tego słowa: jego kształt ulega redukcji. Trudno tym miejscu nie pomyśleć o znakomitej scenie z nowej Trylogii *Gwiezdnych Wojen* George'a Lucasa, gdzie Obi Wan Kenobi, rycerz Jedi, odwiedza bibliotekę w poszukiwaniu informacji na temat systemu planetarnego pod nazwą Kamino. Kustoszka, którą Mistrz Kenobi wypytuje o system, wskazując, że brakuje go w katalogu, dotknięta do żywego odpowiada mu wówczas tak: „jeżeli systemu nie ma w katalogu, znaczy to – że nie istnieje”.

W stronę Nienazywalnego albo Internet w Bibliotece

Biblioteka: sfera identycznych heksagonów – polimeryczna, krystaliczna struktura czy kłaczce, które nie zna centrum? Sieć centrów, wśród których wiedza jest równo rozdyskrebowana, wewnętrzna sieć połączeń czy Internet, który buntuje się przeciw metodycznie zaprojektowanym systemom tagowania bytów według jakiejś „Pierwszej Nazewnicy Zasady”? Z nadejściem Internetu, Słowo nie jest już SŁOWEM; różni się bowiem od siebie samego tym bardziej, im bardziej „Pierwsza Zasada” traci na wiarygodności. Nie jest już swoją własną zasadą. Oscyluje pomiędzy tym, co nazywa i tym, co jest nazywane.

Język informacyjno-wyszukiawczy wymknął się spod kontroli; byt sformalizowany, jakim niegdyś był, traci z wolna rację bytu. Dziś wyszukujemy informacji w Sieci przy pomocy dowolnego ciągu znaków i czynimy to nierzadko przy pomocy oprogramowania umożliwiającego wyszukiwanie pełnotekstowe. Struktura katalogów Internetowych jest coraz bardziej elastyczna, coraz mniej „Uniwersalna”. W przypadku wielu serwisów tagowanie (etykietowanie) stron internetowych – a nawet indywidualnych dokumentów dostępnych *online* – dokonuje się w oparciu o aktywność ich użytkowników. Członkowie społeczności sieciowej nie tylko przypisują istniejące już kategorie do dokumentów, ale mogą także tworzyć i przypisywać do nich nowe metadane, jeżeli uznają, że te już funkcjonujące okazują się nie dość precyzyjne. Skalę ważności tagów wyznacza statystyka: im większa liczba użytkowników przypisze temu samemu dokumentowi określony tag, tym wyższą pozycję ów dokument uzyska na liście wyników wyszukiwania przeprowadzonego przy jego pomocy, co ostatecznie decyduje o globalnej kategoryzacji dokumentu w konkretnym czasie. W ten sposób rodzi się nowy, receptywny katalog: przyszłość zdaje się nieść z sobą obietnicę iż *vergangene Zeiten und Bücher* przywrócone zostaną chwiejnej egzystencji tu i teraz przez użytkowników katalogu, którzy poprzez swoje – niekoniecznie ugruntowane w teorii – działania potwierdzają nie-Uniwersalność światopoglądów. Dzięki technologii umożliwiającej kategoryzację wymykającą się „ręcznemu sterowaniu” i powstawanie języków wyszukiwania, których leksykon nie jest arbitralnie predeterminowany, pozycja owych „książek minionych” we współczesnym katalogu może ewoluować.

W poststrukturalnej, teoretycznie „kłączowej”, teoretycznie „globalnej” rzeczywistości – powstały teorie, wedle których (teoretycznie) udało nam się zrewidować dotychczasowe postrzeganie świata. Z nadejściem ery Internetu i telefonu komórkowego, przekazu satelitarnego, wirtualnej rzeczywistości *teoretycznie* dostrzegliśmy dekonstrukcyjne oscylacje fundamentalnych dla zachodniego logocentryzmu pojęć. Uznaliśmy, że udało nam się wreszcie wyjść z labiryntu heksagonów Biblioteki. Zaniepokojeni – zastanawiamy się nad konsekwencjami naszego sukcesu. Niektórzy z nas drą szaty nad „upadkiem wartości” – zjawiskiem, które przecież niekoniecznie musi być synonimem nieuniknionej „rewizji wartości” – i biją na alarm, kiedy okazuje się, że dostępność informacji i łatwość publikowania treści czyni żmudną wędrówkę przez centralnie zarządzany katalog jedną z wielu – a z pewnością nie jedyną – opcji intelektualnego samorozwoju. Dostrzegłszy, że ich własne badania przyczyniły się walnie do tego, że „globalny świat” wykroczył poza tradycyjne metanarracje, jakby panicznie powracają do retoryki moralności opartej na transcendentnych, „uniwersalnych” wartościach. Niepewni tego, co przyniesie „nowe” – mówią o Bogu i „ogólnoludzkich Prawdach”; załamują ręce, wyjaskrawiając potencjalne niebezpieczeństwa i pokusy, jakie czyhają na „człowieka w sieci”, która formuje nieodpowiedzialną „anonimowość”.

Inni, z kiepsko skrywaną satysfakcją, kwestionują wartość moralności, której fundament miałyby być niedostępność informacji – i nie do końca bezpodstawnie podejrzewają tych pierwszych o cichą współpracę z Dyrektorem Biblioteki. Ostatecznie to ich Słowo stanowiło dotąd o kształcie katalogu; to oni tworzyli pojęcia, które stały się podstawą Języka Informacyjno-Wyszukiawczego, więc to także oni mogli dotąd decydować o tym, czego nie sposób było w Wielkiej Bibliotece znaleźć, odrzucając niewygodne kategorie. Trudno się dziwić, że wśród pojęć języka wyszukiawczego stosowanego w katalogach polskich bibliotek naukowych na próżno szukać będziemy odpowiednika angielskiego terminu *pro-cunt feminism*: Dyrektor Biblioteki – w odróżnieniu od wiceasystenta zastępcy kustosa – nie odważyłby się kalnąć idealnej harmonii nieskończonych heksagonów, nobilitując do miana „terminu” wulgarnego wyrazu „pizda”. Zżymać się będzie na samą myśl o tym, że w otągowanym *Universum* ery informacji taki termin – drwiący z jego poczucia moralności i godności – można jednak łatwo znaleźć, a wraz z nim dotrzeć do wszelkich „wywrotowych treści”, które zakwestionują podstawy porządku, który obowiązywał dotychczas; co gorsza, termin ten wprowadzono w obieg języków informacyjno-wyszukiawczych niektórych amerykańskich bibliotek akademickich. Jednak nie jest możliwe, by utrzymać autorytet, „pałac prohibity”: takie gesty okazały się nieskuteczne w historii i muszą się okazać nieskuteczne dziś. Zniszczenie pracowni Gutenberga byłoby zapewne na rękę wielu jego współczesnym, ale dziś nikt nie wątpi, że dzisiejszy świat

bez rewolucji, jaką przyniosła ruchoma czcionka, byłby niewątpliwie gorszy, niż ten w którym żyjemy.

Dzierżący władzę nad Słowem – akademickie autorytety – potrzebują czasu, żeby oswoić się z efektami rewolucji, której byli współinżynierami. Być może muszą dopiero dostrzec, że wiedza, którą zbudowali i postawy etyczne, które z niej wynikają – jeżeli istotnie są wartościowe i przejdą próbę współlistnienia z propozycjami alternatywnymi – obronią się znakomicie bez względu na swobodę dostępu do informacji i kres centralnego zarządzania dostępem do treści „wywrotowych”. Retoryczne gesty obciążania medium odpowiedzialnością za ludzkie przywary jest niecelowe: ktoś, kto nie posiada dostępu do Internetu z definicji nie może być człowiekiem bardziej etycznym niż ktoś, kto taki dostęp posiada. Mediów globalnych – tak jak noża czy siekiery – można wszak używać zarówno do celów godnych, jak i podłych: to nie nóż podejmuje decyzję co do tego, czy człowiek wykorzysta go, by zabić innego człowieka, czy po to, by pokroić chleb. Dlatego spowiedź przez Internet może być równie uczciwa jak spowiedź w konfesjonale: anonimowość Internetu jest przecież jedynie cyfrowym analogonem kratki oddzielającej spowiednika od wiernego; „seks na komórkę” nie jest niczym innym, aniżeli cyfrowym odpowiednikiem pornograficznej gazetki, którą potrzebujący pornografii człowiek „starych mediów” może kupić na każdej stacji benzynowej i w każdym kiosku. Podobnie – kreowanie własnej tożsamości w serwisach takich jak „Nasza Klasa” czy „Facebook” – jest jedynie cyfrową odmianą rzeczywistego pozerstwa, ale też realnie odpowiada pospolitej potrzebie autokreacji realizowanej w języku codziennej komunikacji; tworzenie fałszywych aliasów – z epistemologicznego punktu widzenia nie odbiega daleko od fałszowania podpisów na analogowych dokumentach i podszywania się pod inną, czasem nieistniejącą osobę; mnożenie „nicków” odpowiada zaś wielości oblicz, jakie codziennie ukazuje innym każdy z nas. Jednak nie ulega wątpliwości, że nowe media powołały do istnienia nową sztukę i same w sobie stały się tekstem – jednocześnie *locusem* i *toposem* rzeczywistości naocznej. Nowe media to przestrzeń dyskursu ciągle powstającego, to jednocześnie język *egzystujący* na mocy symulanicznych i równoprawnych odczytań oraz *istniejący* poza przestrzenią orzekania w falowo-korpuskularnym (nie)bycie elektronów. Oto język *odpowiedni* dla współczesnej, podejrzliwej świadomości upolitycznienia światostwórczej mocy Logosu – język dekonstruujący przeświadczenia, na mocy których pozwalamy sobie wygodnie „zesztywnieć” w stereotypach będących nierzadko źródłem cierpienia. Mimo to, choć wydawałoby się, że sforśowaliśmy już lub przynajmniej bliscy jesteśmy sforśowania murów Biblioteki-więzienia, paradoksalnie poruszamy się dalej wewnątrz nieskończonego labiryntu korytarzy i pentagonów. Organizujemy dziś konferencje dotyczące nowych mediów i rozwodzimy się nad problematyką tożsamości człowieka

w dobie globalizacji w przeświadczeniu, że nawias, wewnątrz którego za McLuhanem i De Kerkhove'm odseparowaliśmy się od większej części globalnej ludzkości, jest tak błado wyrysowany, iż można przyjąć, że wszelkie stwierdzenia i wnioski, do jakich dojdziemy, będą miały wartość „globalną”. Nie tylko nie bierzemy pod uwagę statystyk dostępności/świadomości nowych mediów – w tym telefonii komórkowej, Internetu czy mediów satelitarnych – w krajach reprezentujących kultury inne niż zachodnia, ale także pomijamy milczeniem nieadekwatność naszych wniosków dotyczących języka, tożsamości czy jaźni w kontekstach, w których paradygmat logocentryczny nie obowiązuje. Czy w przestrzeni kultur bazujących na buddyjskiej koncepcji rzeczywistości dyskurs naukowej debaty podnoszącej „palące” kwestie „rozmywania się” tożsamości w sieci, rozmnożenia tożsamości czy hipertelii istotnie miałyby sens, biorąc pod uwagę elementarne założenie o iluzoryczności ego? Skąd więc nasze głębokie przeświadczenie o „globalności” globalizacji, skoro nawet to ostatnie pojęcie kwestionuje swoją zasadność, kiedy je „globalnie” zastosować? Centralne zarządzanie Słowem, przywilej hegemonu, choć osłabione – pokutuje jednak dalej. Tkwimy w Katalogu, którym nieustannie zarządza dyskretny, uczynny, lecz jednocześnie zazdrośnie strzegący swych prerogatyw Główny Deskryptor.

Pojawienie się Słowa powołuje do istnienia pierwsze pęknięcie w uprzednio „uporządkowanym”, bo nienazywalnym i niewyobrażalnym, „homogenicznym” *Universum*, które Mistrz Eckhart postrzegał jako oryginalną domenę, przestrzeń poza wyróżnialnością, osiągalną jedynie poprzez ruch umysłu w stronę niewiedzy. Dziś, „nieuporządkowany”, kłaczowy Internet rozwija się i rozszerza: Słowo namnaża się i staje się mnogimi Słowami, z których żadne nie ma przewagi nad innymi w tej samej CyberPrzestrzeni. W CyberBibliotece odniesienia odszukujemy nie tylko wobec binarnej zasadniczo linii Wschód-Zachód, ale kierując się wskazaniem pełnej róży intelektualnego kompasu; sfera płciowości i sfera genderu nie są tu ograniczone do prostego binarnego rozróżnienia, a terror polityczny znajduje odpór w postaci wolnego dostępu do informacji. W takim kontekście coraz mniej jest miejsca dla predeterminowanych kategorii, przy pomocy których opisywać można *Universum*. Nowe media mówią wszystkimi językami; w ich przestrzeni żaden Dyrektor Biblioteki, żaden Główny Deskryptor nie cieszy się pozycją wyższą niż dowolny inny, tagujący rzeczywistość człowiek. Dziś już *nie muszę* ufać wyłącznie dostępnym pojęciom autorytarnego języka wyszukiwawczego, choć *mogę* takiego wyboru dokonać. Mogę szukać treści, odwołując się do tagów nadawanych nietrwale bytom wirtualnym (tekstom ucyfrowionym) – a w konsekwencji tego także bytom naocznym (dostępnym mocą nazywającego, performatywnego Logosu) – przez anonimowych często użytkowników Sieci, rzeczywistych mieszkańców mojego naocznego *Universum*. Ostatecznie przecież nie to jest prawdą, co nią jest, tylko to, w co jesteśmy skłonni uwierzyć i *bona fide* za prawdę

Zamknięci w bibliotece, czyli rozważania o metanarracjach i naukowych wizjach świata

uznać. I nawet jeżeli w takim kontekście odstępianie od istniejącego toru myślenia tylko troszkę nie jest ani o jotę łatwiejsze niż dawniej, granice mojego świata, zgodnie z granicami mojej biblioteki, rozszerzyły się spektakularnie. Transgresja może teraz zajść, tak jak zachodzi każde odkrycie: spontanicznie i lokalnie.

